

**DUBAJ**  
**AMINA**  
**DUDZIŃSKA**

MIASTO INNYCH LUDZI

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Anna Dudzińska  
COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

Piasek potrafi zamieszać w głowie. Gdy wzbijany wiatrem wiruje i miota się z jednej strony ulicy na drugą, budynki i pojedyncze palmy stają się niewidoczne. Jest go coraz więcej, gdy ulica Umm Suqeim przechodzi płynnie w bezduszną w swej nazwie drogę E63. Na początku piasek zatrzymują hotele, gęsto stojące domy, trawniki, sklepy, restauracje i salony piękności. Potem miesza się on ze żwirem budowlanym, pyłem poderwanym przez koparki i z pustynią.

Czteropasmowa droga biegnie w głąb lądu, prostopadle do linii brzegowej, i kończy się tam, gdzie rozpoczyna się pustynia. Dokładnie na parkingu, na który przyjeżdżają turyści, by zobaczyć sztuczne jeziora w kształcie serca, i tam, gdzie stoi przykurzony napis „Last Exit”. Kiedy powietrze sinieje i wiruje jak wyrwana z placu zabaw ogromna piaskownica, trudno oddychać i mówić. Gdyby jednak udało się złapać oddech, musiałabym sama siebie zapytać, co robię w tej piaskowej burzy. A wraz ze mną setki podobnych kierowców. Przejechałam tę drogę w Dubaju dziesiątki razy. Po dzieci do szkoły, do przyjaciółki,



do hinduskiego hipermarketu. Razem ze mną w korkach na Umm Suqeim utknęli: lekarze z Polski, niemieccy biznesmeni, syryjscy inżynierowie, menedżerki restauracji z Francji, joginki z Kanady i jordańscy nauczyciele. Ekspaci. To zapożyczone z angielskiego słowo znają tu wszyscy. Odnosi się do wysokiej klasy specjalistów, którzy opuścili ojczyznę, aby pracować za granicą, oraz członków ich rodzin. Współczesna wieża Babel mówi wszystkimi językami świata.

Słowo „ekspat” jest tak dumne, że nie pomieści w sobie innych przyjezdnych. Imigrantów zarobkowych, którzy utknęli w tej samej burzy. Siedzą niewidzialni w białych autobusach. Musieli pozamykać okna, które zwykle są otwarte, bo zamiast klimatyzacji w busach, które dowożą ich do pracy, zamontowano tylko małe wiatraczki. To Nepalczycy wracający z placu budowy i Hindusi z hoteli, które sprzątają, Erytrejki ze szkoły, do której rozwżą cudze dzieci, Pakistańczycy z pilnowanych przez siebie apartamentów. Opierają głowę na dłoniach i nie zwracają uwagi ani na korek, ani na majaczące w ciemno-beżowym pyle budynki. Nie muszą. Piasek w powietrzu i tak zagarnął wszystkie widoki, a oni są tak zmęczeni, że zanim dojadą do ośmioosobowych pokoi z łózkami piętrowymi, zdążą uciąć sobie drzemkę.

Ludzie w drodze. Współcześni nomadzi. Ekspaci i imigranci. Bogaci i biedni. Przyjechali po pieniądze do Dubaju, miasta, w którym zaledwie co piąty mieszkaniec jest Emiratem. Koczownicy nowej ery suną w swych samochodach, trasą podobną do tej, którą Beduini pokonywali przez wieki.

Od morza do środka pustyni i z powrotem. Ale dzisiaj to oni, przyjezdni, stanowią tu większość. Zaludniają więc to naznaczone tymczasowością miasto, w którym zbudowano setki pokoi na osiedlach dla robotników i równie wiele domów z basenem i fontanną. Rozłokowali się w nich w zależności od statusu i wynagrodzenia, które otrzymują za pracę. Ci z mitsubishi i toyoty – jadą do domu z basenem. Niewidzialni z białych autobusów – dokończą swoją drzemkę w barakach dla robotników. W ludziach jest wielka potrzeba happy endu. Tego, by chociaż jedna rzecz im się w życiu udała. Dubaj spełnił już wiele takich marzeń. O sklepiku z ryżem w indyjskim stanie Uttar Prades albo domu z widokiem na morze i emeryturę w Hiszpanii. Dubaj mami i obiecuje. Zabiera, co chce, i daje też tylko tyle, ile chce. W sumie każdy zgadza się na taki układ. Ale jedni i drudzy wiedzą, że w tym kraju wyjście poza swoją grupę jest niezmiernie trudne. Imigrant kierowca raczej nie zostanie tu inżynierem. Mit o pucybutcie, który został milionerem, realizują tylko Emiraczczycy.

Na szczęście słońce należy się wszystkim.

Kiedy wiatr przestaje wirować, a ciemnobieżowy piasek osiada tam, gdzie jego miejsce, ulica Umm Suqeim wygląda na znacznie przyjemniejszą, niż zdawało się jeszcze przed chwilą. To moment, gdy Nepalczycy mogą wyciągnąć swoje wiadra i sprzęt alpinistyczny. Będą myć okna w wieżowcach ze szkła i stali. Ropa naftowa zmieniła Emiraty w architektoniczny rollercoaster, który w zawrotnym tempie opanował pustynię niczym wielka narośl panosząca się na piasku. Niedaleko Umm

Suqeim wyrosły drapacze chmur z setkami podobnych do siebie apartamentów i biur. Skoro skończyła się burza, trzeba to wszystko wypolerować na błysk. Już za chwilę ci, którzy czyszczą, i ci, którzy przyglądają im się z drugiej strony szyby, będą mogli dalej udawać, że sine powietrze pojawia się rzadko, a słońce świeci tu zawsze.





## Pustynia

Pustka sprawia, że wyostrzają się zmysły. Wzmacnia kolory, zapachy i dźwięki. Tak jest na pustyni. Tutaj cisza brzęczy w uszach. Oddechy i śpiewy jadących na wielbłądach Beduinów słyszać wyraźniej. W południe skórę parzą nie tylko promienie słoneczne, ale też powietrze, gęste od upału i piasku podrywanego gorącym wiatrem. Wieczorem pomarańczowe wydmy stają się czerwone, a potem brązowieją. Atmosfera nie jest już sucha i gorąca. Robi się rześko, jak w sierpniowy wieczór na Mazurach. Zimna noc jest uczłą dla zmysłów. Pachnie ogniskiem, herbatą z kardamonem i szafranem dodawanym do ryżu. Nad odpoczywającą karawaną świecą gwiazdy. Tak blisko i tak intensywnie jak nigdzie na świecie.

Wędrujące przez pustynię wielbłądy są mądre – nie lubią podróżować po zmierzchu. Gdy zachodzi słońce, mrok wydaje się tu ciemniejszy niż w innych częściach świata. Kończący się dzień to dla nich pora jedzenia. Każdego wieczora Charlotte przynosi zwierzętom siano. Dzisiaj jej wielbłądzica, Dabi, wydaje się poirytowana. To dziwne, bo zwykle zachowuje spokój,

podobnie jak jej właścicielka. Wszystko dlatego, że jest już po dwudziestej drugiej, a ona była na nogach od dziewiątej rano. W tym czasie przewędrowała sześćdziesiąt trzy kilometry. Charlotte dobrze ją rozumie, bo sama marzy o wygodnym śpiworze w namiocie. Trudno uwierzyć, że ta delikatna szatynka o włosach brązowych jak piasek o zmierzchu wyjechała z Paryża, by na pustyni odnaleźć swój drugi dom. A potem, ku zdumieniu wszystkich, kupiła wielbłąda. Kiedy opowiada o tym we Francji, ludzie pytają, gdzie go trzyma.

– No jak to gdzie? Oczywiście na balkonie – odpowiada i zanim się uśmiechnie, czeka na reakcję. W Dubaju wszystko jest możliwe, nawet wielbłąd na balkonie.

Charlotte podzieliła się swoim wielbłądem. Oddała łagodną Dabi mnie – dziennikarce z Polski. Zwierzę, na którym początkowo miałam jechać, przy zakładaniu siodła zaczęło wierzgać i toczyć pianę z pyska. Francuzka zauważyła mój przerażony wzrok i zaproponowała, że przez kilka dni mogę dosiadać jej wielbłądzicy. Wiedziała, że delikatna Dabi nie zrobi mi krzywdy.

– Własny wielbłąd tylko Europejczykom wydaje się czymś niezwykłym. A w rzeczywistości niczym się to nie różni od posiadania konia. – Charlotte szybko usuwa małe pustynne świerszcze, które przyczepiły się za uszami Dabi w czasie wielogodzinnego marszu.

Mam wyrzuty sumienia, bo to ja powinnam zadbać o wielbłądzicę. Usunąć świerszcze, podać jej siano i szepnąć „dobranoc” do ucha.

Ludzie w Europie nie zdają sobie sprawy, że kilkanaście kilometrów od błyszczących w słońcu wież Dubaju Emiraczczy mają swoje farmy. Ziemię – czy raczej piasek – dostają od szejka. Gdy szejk chce wybudować na piasku coś nowego, po prostu przenosi farmę swojego poddanego w inne miejsce, gdzie dalej może on hodować – najczęściej – wielbłądy i konie. Emiraczczy stawiają tam tymczasową chałupę albo namiot, dokładają kilka poduszek do siedzenia, przywożą plastikową toaletę i to im właściwie wystarcza. Tak jak ich dziadkowie uwielbiają spędzać czas na pustyni. Musi zostać spełniony tylko jeden warunek: wieczorem mogą wsiąść do toyoty z napędem na cztery koła i szybko dojechać do trzystumetrowej, klimatyzowanej willi w mieście.

Na takiej właśnie farmie kilka miesięcy wcześniej poznałam Charlotte. Tam, w Al-Lusayli Farm, mieszka Dabi. Dokładny adres: 24 stopnie długości geograficznej północnej i 55 stopni szerokości geograficznej wschodniej (24°57'02'3 N 55°24'49'9 E), środek pustyni, na południe od prowadzącej z Dubaju drogi E77. Pod takimi współrzędnymi znajduje się niewielkie gospodarstwo prowadzone przez Centrum Dziedzictwa Kulturowego imienia szejka Hamdana, aktualnego następcy tronu Dubaju. Przystojny książę wie, że im krótsza historia państwa, tym bardziej należy o nią dbać. Zjednoczone Emiraty Arabskie powstały niespełna pięćdziesiąt lat temu, dlatego warto zrobić wszystko, by poddani nie zapomnieli o tradycji przodków. Szejk co roku organizuje wyścigi sokołów, pustynnych psów saluki, konkurs tradycyjnego tańca z bronią Youlah, zawody w nurkowaniu swobodnym, a przede wszystkim Camel Trek, trwającą

dziesięć dni karawanę na wielbłądach. Gdy przyjechałam na farmę przygotowywać się do tej wyprawy, Charlotte była już doświadczoną jeźdźczynią i weteranką poprzednich wędrówek. Dojeżdżała tu codziennie przed pracą, opiekowała się Dabi i innymi wielbłądami. Kilka lat wcześniej przeczytała o Camel Trek w anglojęzycznej gazecie „Gulf News”. Autorka tego artykułu nie bawiła się w szczegółowe opisy, powtórzyła słowo w słowo reklamę, którą przysłali jej marketingowcy z Centrum Dziedzictwa. Na początku nie było im łatwo znaleźć chętnych na kilkudniową wólcę przez piaski, żeby więc sprawę nagłośnić, zwrócono się do gazety.

#### *Aby ocalić przeszłość Zjednoczonych Emiratów Arabskich*

Historia Zjednoczonych Emiratów Arabskich nie padła w piasku czasu. To samo można powiedzieć o kulturze, tradycjach i sposobie życia Emiraczyków. Hamdan Bin Mohammed Heritage Centre (HHC) zachowuje i kultywuje dla przyszłych pokoleń wszystko, co związane z tym założonym czterdzieści trzy lata temu państwem, by wzmacniać poczucie tożsamości narodowej Emiraczyków i zapoznawać mieszkańców ZEA z bogatym dziedzictwem kraju.

Ta informacja zelektryzowała Charlotte.

– Wybrano piętnaście osób, które na wielbłądach miały ruszyć śladami dawnych Beduinów. Nie miałam pojęcia, jak się

na nich jeździ, niewiele wiedziałam o rdzennych mieszkańcach Arabii, ale kochałam rywalizację. Jeśli ktoś ma zostać wybrany na przyszłoroczną wyprawę, to będę to właśnie ja – opowiada mi zdecydowanym tonem.

Gdy zadzwoniła do organizatorów, po raz pierwszy, odkąd przyjechała do Dubaju, poczuła się jak na Bliskim Wschodzie. Urzędniczka mówiła tylko po arabsku. Obcokrajowcy doskonale wiedzą, że arabski jest tu zupełnie niepotrzebny. Po angielsku mówią wszyscy – od sprzątaczy na lotnisku, przez taksówkarzy, po kelnerów i szefów wielkich firm. A tu nagle język arabski w Centrum Dziedzictwa, tak jakby ktoś chciał podkreślić, że w miejscu, w którym „zachowuje się i kultywuje historię dla przyszłych pokoleń”, można mówić tylko w pierwotnym języku tego kraju. W tłumaczeniu pomogła koleżanka z Libanu. I tak Charlotte, pierwsza kobieta w historii wielbłądziej farmy Al-Lusayli, rozpoczęła treningi.

#### Z PARYŻA NA PUSTYNIĘ

Dwa lata wcześniej wielbłądy i pustynię znała tylko ze zdjęć „National Geographic”. Charlotte od dziecka trenowała piłkę ręczną. Miała ambicję, umiejętność i zapał. Posłuszeństwa odmówiło jej ciało. Doskonale pamięta, jak w wieku dwudziestu dwóch lat przekonywała chirurga, że nie ma dla niej znaczenia ani kontuzja kolana, ani rozmiar blizny, że nieważne, ile będzie trwała rehabilitacja – ona chce grać i będzie grać, i będzie częścią francuskiej drużyny na Igrzyskach Olimpijskich w Londynie.



– O rezygnacji z piłki ręcznej nie było mowy. – Charlotte przypomina sobie przebieg tamtej wizyty u lekarza.

– Charlotte, my nie mówimy o dyskomforcie związanym z bolącym kolanem. My mówimy o tym, czy w ogóle będziesz jeszcze chodzić! – usłyszała w odpowiedzi.

U lekarza była w poniedziałek, płakała do niedzieli. Zamknęła się w pokoju i nikt nie potrafił jej uspokoić. Nawet rodzice – trenerzy piłki ręcznej. Sport był dla niej wszystkim. Pierwszą piłkę dostała w przedszkolu. W pierwszej klasie zaczęła trenować na serio.

– Miałam wtedy sześć lat – wspomina. – Przez cały tydzień myślałam tylko o tym, że w sobotę znowu wyjdę na boisko. Nie nawidziłam szkoły – wyznaje z lekkim wstydem. – Zawsze mi się wydawało, że do niej nie pasuję, nie lubiłam się uczyć, nie rozumiałam tego, co tłumaczą nauczyciele. Słowo „nienawiść” nie opisuje w pełni, jak bardzo nie znosiłam codziennych zajęć. W szkole była grupa dzieci z problemami intelektualnymi. Zazdrościłam im ogromnie, bo mieli zajęcia z gotowania i plastyki. A ja chciałam tylko grać w piłkę i malować. Marzyłam, żeby do nich dołączyć, zamiast rozwiązywać zadania z matematyki i chemii.

Koniec treningów był dla Charlotte końcem pewnej epoki. Rodzice właśnie się rozwodzili, zajmowali się sobą i nawet u nich nie mogła znaleźć pomocy.

– Byłam totalnie zbuntowana. Nie rozumiałam, jak to możliwe, że dwoje ludzi, którzy mieli kochać się całe życie, znienawidziło się w jednej chwili.

Charlotte trzy lata wcześniej zaczęła żyć na własny rachunek. W trakcie rehabilitacji, tuż przed ostateczną diagnozą, skończyła kurs instruktora piłki ręcznej i wyjechała do Anglii. Niestety nie na igrzyska, ale żeby trenować innych i uczyć się angielskiego.

– Praca trenerki była tak nisko płatna, że musiałam dorabiać jako kelnerka we francuskim bistro. Każdy mój dzień był podobny do poprzedniego. Treningi, bar, treningi, bar. Pewnego dnia zadzwonił mój ojciec. Aż gotował się ze złości. – Charlotte przypomina sobie dzień, kiedy zdecydowała się wyjechać z Londynu.

„Wiesz, że następne mistrzostwa piłki ręcznej nie odbędą się w Europie? Przecież oni się tam upieką w tym Katarze. Słyszałaś?” – tata nie ukrywał, że nie podoba mu się pomysł zawodów organizowanych na Półwyspie Arabskim. „Gdzie?” „W Katarze. Mistrzostwa piłki ręcznej organizuje jakiś Katar, w jakiejś Zatoce Perskiej. Dzisiaj za pieniądze można kupić wszystko!” – narzekał.

– Wiedziałam, że istnieje Zatoka Perska, że Iran prowadził wojnę z Irakiem i że była kiedyś wojna w Kuwejcie. Ale o Katarze nie wiedziałam nic – opowiada Charlotte. – Następnego dnia do mojej restauracji przyszła koleżanka ze swoją siostrą, dziennikarką telewizji Al-Dżazira z Kataru. Nigdy wcześniej nie słyszałam o tym kraju, a teraz dzień po dniu ktoś mi o nim opowiada.

Rozczarowana londyńskim życiem Charlotte zadzwoniła do francuskiej federacji piłki ręcznej i zapytała, czy będą potrzebowali jakichś ludzi do obsługi drużyny w Katarze. Odpowiedzieli, że oczywiście przyda się ktoś z biegłą znajomością



języka arabskiego. Włączyła internet i odnalazła Katar na mapie. Przeszukała też ogłoszenia z ofertami pracy. W Katarze nic nie było, ale okazało się, że producent najbardziej znanego francuskiego szampana szuka pracownika do prowadzenia restauracji na lotnisku w Dubaju.

– O Zjednoczonych Emiratach Arabskich wiedziałam tyle co o Katarze, czyli nic. Na stronie Ministerstwa Spraw Zagranicznych znalazłam informację chyba sprzed sześćdziesięciu lat! – śmieje się Charlotte. – Według tamtej instrukcji powinnam zostawić w domu wszystkie bluzki na ramiączkach i sukienki i uważać na Arabów czyhających na niedawno wyasfaltowanych ulicach miasta. Do tego same klisze: Zjednoczone Emiraty Arabskie to niebezpieczny kraj na Bliskim Wschodzie, w pobliżu toczą się wojny, no i wszyscy się tam kłócą o prawa kobiet. Bo skoro w Arabii Saudyjskiej kobiety nie mogą prowadzić samochodów, to w pobliskim Dubaju musi być podobnie. Właściwie wszystko, co wtedy przeczytałam, okazało się nieprawdą. Po rozmowie kwalifikacyjnej otworzyłam mapę Dubaju, by dopytać o szczegóły.

„Gdzie mam zamieszkać, jeśli chcę na co dzień mówić po arabsku?” – zapytała na kolejnej rozmowie o pracę. Rekrutujący byli zaszokowani tym pytaniem i odpowiedzieli zgodnie z prawdą, że właściwie nigdzie.

– Nie ma tu takich miejsc. U Pakistańczyków kupisz chleb, mówiąc w języku urdu, albo pójdziesz do irańskiego dentysty i porozmawiasz z nim po persku. Po angielsku zamówisz zasłony u filipińskiej ekspedientki w Ikei. A klienci z Libanu,

którzy odwiedzają nasze bistro, i tak będą mówili do ciebie po francusku.

Do Charlotte dotarło wtedy, że gdzieś poza Europą jest miejsce, w którym ludzie mówią wszystkimi językami świata. Na lotnisko Charles'a de Gaulle'a w Paryżu pojechała sama. Rozczarowana życiem, z zawiedzionymi sportowymi ambicjami. Nikt jej nie odprowadzał i dobrze wiedziała, że po sześciu godzinach w samolocie nikt nie będzie na nią czekał.

– Podjęłam tę decyzję spontanicznie. Myślałam wtedy sercem, a nie głową. Skoro nie mogę grać w piłkę ręczną, to już nie dbam o dobrą pracę. Nie myślę o emeryturze ani o przyszłości. Mogę zacząć wszystko od nowa w zupełnie nieznanym kraju. Nowi ludzie, nowy język, nowe miejsce. Nowy świat. Poczulałam motyle w brzuchu i poleciałam.

Droga z lotniska w Dubaju to dwunastopasmowa, wiecznie zakorkowana autostrada. Szejkowie na zdjęciach pozdrwiają podróżnych z ustawionych wzdłuż niej billboardów. Jest zdjęcie szejka Dubaju, Al Maktuma, i biało-czarny plakat z szejkiem Zajidem, wielbionym przez wszystkich założycielem Zjednoczonych Emiratów. Zresztą autostradę – tak jak wiele miejsc i budynków urzędowych – też pośmiertnie nazwano jego imieniem. Charlotte była jednak tak zmęczona, że nie zauważyła ani mijającego ją czerwonego ferrari, ani pomarańczowego lamborghini, ani astona martina, jak z filmu z Jamesem Bondem. Podniosła głowę w momencie, gdy po lewej stronie pojawił się Burdż Chalifa, najwyższy na świecie wieżowiec, szklany pomnik bogactwa Emiraczków i najbardziej znany budynek w mieście.

Nie zauważyła też, że właśnie znalazła się na Palmie – wybudowanej kosztem dwunastu miliardów dolarów sztucznej wyspie, na której mieszczą się apartamentowce i prestiżowe hotele. Bo gdzie niby lepsze miejsce na służbowe mieszkania mogłaby znaleźć firma Moët & Chandon, francuski producent szampana? Już za kilka dni Charlotte będzie zarządzać restauracją podającą ekskluzywny trunk dla pasażerom business class na dubajskim lotnisku. Jej szefowie nie wiedzą, że nieco podkoloryzowała swój życiorys. Po kilku miesiącach spędzonych we francuskim bistro w Londynie niestety nie ma pojęcia, jak obliczyć, ile kilogramów mały, kawioru i ostryg trzeba kupić, żeby wystarczyło na zakąski dla amatorów szampana. Zmęczona Charlotte zdecydowała, że pomyśli o tym wszystkim później. Weszła do apartamentu, runęła na łóżko i natychmiast zasnęła.

– Musiałam odreagować. Nie zjechałam windą na basen ani do luksusowo wyposażonej siłowni. Nie pojechałam obejrzeć pięciogwiazdkowego hotelu w kształcie żagla ani nie rozłożyłam się na prywatnej plaży. Wiedziałam, że muszę odnaleźć się w tym nowym świecie z nową energią i siłą.

Apartamenty w beżowych budynkach położonych wzdłuż pnia sztucznej wyspy mają piękny widok na morze. Wybierając mieszkanie w tych od wschodu, codziennie można oglądać prywatną wyspę szejka Dubaju. Tutaj przycumowano jego jacht i to w tym miejscu znajduje się jeden z pałaców, w których szejki podobno najbardziej lubi spędzać czas. Osiemdziesięciosześcioletnia babcia Charlotte była zaskoczona opowieścią o kraju, w którym ludzie mieszkają na palmach.

– Dlaczego Charlotte musi mieszkać na palmie? – pytała jej rodziców, chociaż wiedziała, że Charlotte robi różne dziwne rzeczy.

Jej wnuczka pierwsze siedem dni w Dubaju spędziła w mieszkaniu na jednej z Wysp Palmowych, wychodząc tylko do sklepu spożywczego na parterze.

#### TAM, GDZIE MIESZKA PUSTKA I SŁYCHAĆ ODDECHY

Życie na farmie Al-Lusayli biegnie swoim torem. Na kilka miesięcy przed wyprawą Camel Trek zagroda zostaje udostępniona turystom. Dwóch pasterzy z Bangladeszu i Omanu dba o to, by zwierzęta miały co jeść i zawsze były gotowe do treningów. Popołudniami przyjeżdżają syryjski lekarz, ukraińska agentka nieruchomości, czarnowłosa Arabka z Maroka, brytyjska pani domu i dziennikarka z Polski. Wszyscy uczymy się dosiadać wielbłąda i odchyłać, gdy wielbłąd wstaje na przednich łapach. Wszyscy, tak jak Charlotte kilka lat wcześniej, przeczytaliśmy relację w gazecie i chcieliśmy stać się częścią wyprawy przez pustynię. W 2017 roku dziennikarka „Gulf News” wzbogaciła relację z Camel Trek wywiadami, które przeprowadziła z jej uczestnikami.

– To nie ma nic wspólnego z tym, co możemy zobaczyć w filmie *Lawrence z Arabii*\*. Najtrudniej jest w samo południe,

\* Obsypany nagrodami film z 1962 roku w reżyserii Davida Leana, którego główny bohater przemierza pustynię, by zaatakować turecki fort Akaba.

gdy słońce praży bezlitośnie i pokazuje człowiekowi, co tak naprawdę potrafi. A wszystko trzeba zrobić samemu. Karmisz wielbłąda, zakładasz siodło i uzdę i rozmawiasz z nim, gdy wstaje słońce. Między jeżdżącym a zwierzęciem tworzy się niespotykana więź – mówił jeden z uczestników karawany.

W tym samym artykule znalazła się też wypowiedź Charlotte. Piękna Francuzka z wielbłądem i złamaną karierą sportową była dla dziennikarzy atrakcją. W kolorowej arabskiej sukni i brązowych włosach dobrze komponowała się na zdjęciach z pustynią w tle.

– Z wielbłądami trzeba bardzo delikatnie i uważnie. Wielbłądom trzeba zaufać. Jeśli będziesz okrutny, to wielbłąd nie tylko to wyczuje, ale będzie o tym pamiętał jeszcze przez wiele miesięcy. One wiedzą, co robią, i zawsze wybierają najlepszą drogę – tłumaczyła.

Rok wcześniej, zaraz po swojej pierwszej wyprawie, Charlotte kupiła Dabi – piękną wyścigową wielbłądzicę na emeryturze. Nauczono ją biegać po torze, ale nie nauczono godzinami chodzić po pustyni z jeźdźcem na tylnej części garbu. Z tego doszkoliła ją dopiero Francuzka. Tymczasem cytowana przez „Gulf News” wypowiedź Charlotte, jej opowieść o spokoju ducha, który można osiągnąć na pustyni, przyciągnęła moją uwagę. Zapamiętali ją też inni: Nicola, Mili i Abdullah. Oni, tak jak ja, chcieli doświadczyć pustynnego życia Beduinów.

Gdybyśmy wtedy mogli dłużej posłuchać Charlotte, usłyszeliśmy o tym, jak człowiek cudownie potrafi zatracić się w pustynnej rutynie. Jak codziennie wstaje ze wschodem słońca. Jak

widzi, że wielbłądy wolno podnoszą długie szyje z wilgotnego po nocy piasku. Jak ubiera się, zjada śniadanie, potem karmi zwierzę, nakłada na nie siodło i wyrusza. Raz prawa para kopyt, raz lewa. Jak w transie. Ciało chwyta rytm monotonnego kołysania. Jeździec ma wrażenie, że za następną wydumą będzie koniec. Jakby dalej nie było już nic. W południe robi przerwę. Kładzie się na piasku i musi coś zjeść, chociaż jego wielbłąd spokojnie wytrzymuje do wieczora. Po godzinie odpoczynku rusza dalej. I znowu jedzie. Prawa para kopyt do przodu, lewa para kopyt do przodu. Wieczorem dociera do zbudowanego wcześniej obozu. Robi się szaro. Odpoczywa przy ognisku. Kładzie się spać i wielbłąd też się kładzie. Każdy dzień podobny jest do poprzedniego.

Dziesięciodniowa wyprawa z Beduinami, których przodkowie kołysali się po pustyni na wielbłądach, przypomina, że historia zatacza tu koło. Pustynni wędrowcy od stuleci spędzali lato w oazie położonej pośrodku pustyni, a zimą przenosili się nad brzeg Zatoki Perskiej. Wszystko toczyło się w tym samym rytmie, a dźwięk kroków Beduinów mieszał się na piasku z odgłosem wielbłądzich kopyt. W ten sposób podróżowano pięćset i zaledwie pięćdziesiąt lat temu. Zupełnie jakby na pustyni czas nie miał ani początku, ani końca.

#### CAMEL TREK

Na wyprawie pojawiajemy się w komplecie: jest Charlotte, najstarsza stażem, jest Nicole z Wielkiej Brytanii, Ukrainka Mili i syryjski lekarz Abdullah. Oszukujemy się trochę, myśląc, że



jesteśmy jak Beduini. Tymczasem w odległości kilku kilometrów mamy asfaltową drogę, a na niej auta z naszymi namiotami i śpiworami. Wystarczy parę minut i terenowym wozem podjedzie lekarz z apteczką, fotografka albo polowa toaleta z prysznicem, pod którym raz na dwa dni można splukać piasek z włosów. Są też jajka, kupiony w mieście chleb, kury i kozy wiezione przez kucharza na pace samochodu transportowego. Prawdziwy Beduin uśmiechnąłby się pogardliwie.

Każdy ma swoją opowieść o pustyni. Charlotte mogłaby godzinami mówić o ziarnach piasku, które wpadają w zakamarki ubrania i zostawiają na ciele bolesne blizny, o smaku jajecznicy z papryką przygotowywanej o świcie, o wieczornej modlitwie muzulmanów, którą słychać w całym obozie, i o strategii, jak i kiedy pić wodę, by nie zatrzymywać co chwila kilkudziesięciosobowej karawany na postój w toalecie.

– Jest taka scena, która ciągle wraca do mnie w snach. Na środku pustyni, jak co dzień, rozstawiono namioty. Po lewej dla kobiet, po prawej dla mężczyzn. – Charlotte przypomina sobie przeraźliwie chłodne wieczory i poranki. Zimą różnica w temperaturze na pustyni między dniem a nocą dochodzi nawet do trzydziestu stopni. – Obudziłam się, gdy wszyscy jeszcze spali, może po prostu obudziła mnie świdrująca w uszach cisza. Wysłałam przed namiot. Piasek był pomarańczowy, ale też brązowy i brązowoczerwony. Pojawił się kolor kawy z mlekiem i cynamonu. I wszystko, całą pustynię, spowijała biała mgła. Popatrzyłam przed siebie i zobaczyłam, że z tej mgły wyłania się szczyt pierwszej wydmy. Potem następny i następny. Jakby ten



piasek po raz pierwszy w swojej tysiącletniej historii przykryty został śniegiem. Aż po horyzont widać było niesioną wiatrem gęstą mgłę i pomarańczowe szczyty wydmy. Do dzisiaj ten obraz często wraca do mnie w snach.

Zeszłoroczną wyprawę Charlotte zapamiętała nie tylko z powodu mgły. Zobaczyła wtedy po raz pierwszy drzewo The-sigera. Przynajmniej tak powiedział nam szef centrum dziedzictwa, Abdullah. Nie wiem, czy wymyślił tę opowieść, czy rzeczywiście wiedział, gdzie zostało zrobione najstynniejsze zdjęcie Wilfreda Thesigera – brytyjskiego podróżnika, który dwa razy przeszedł największą piaszczystą pustynię świata. Jego mistrzowskie zdjęcia, a także książka *Arabian Sands* [Arabskie piaski] przyćmiły wyczyny innych europejskich podróżników, Harry’ego St. Johna Philby’ego i Bertrama Sidneya Thomasa, którzy kilkanaście lat przed nim, w latach trzydziestych ubiegłego wieku, po raz pierwszy w historii przeszli przez Rub al-Chali. Nazwa pustyni z arabskiego oznacza „pusty kwartał” lub bardziej poetycko „miejsce, gdzie mieszka pustka”. To największa piaszczysta pustynia świata. Mówi się, że gdy ktoś choć raz zobaczy dwustumetrowe wydmy Rub al-Chali, nie będzie innych miejsc nazywał pustynią. Tony piachu ciągną się na powierzchni dwa razy większej niż powierzchnia Polski. Beduini rzadko zapuszczali się w głąb tych terenów. Czego zresztą mieliby tam szukać? Mieszkali raczej na obrzeżach pustyni – w Omanie, Jemenie, Królestwie Saudów i na terenie Trucial States, jak nazywano kiedyś tereny przed zjednoczeniem Emiratów Arabskich. Piaszczysta pustka była naprawdę pusta i nie było na

niej ani jednej oazy, tylko pojedyncze drzewa nazywane przez lokalnych mieszkańców ghaf, a z łaciny *Prosopis cineraria*, silny jak Beduin jadłozyn, którego korzenie są w stanie znaleźć wodę nawet tam, gdzie pada tylko raz w roku. Jego pierzaste listki, palowaty korzeń, który potrafi wrosnąć głęboko pod ziemię, cierpliwość i wytrwałość są dzisiaj symbolami Zjednoczonych Emiratów. To właśnie przy ghafie sfotografowano Wilfreda Thesigera. Przystojny Brytyjczyk z brodą niczym u jego arabskich towarzyszy przysiadł wyprężony pod drzewem. Wyglądał niemal jak Beduin, z tradycyjnym nakryciem głowy i w szacie chroniącej go przed piaskiem i słońcem. W ręce karabin, a za pasem handżar – tradycyjny sztylet w misternie zdobionej pochwie. Jakby był jednym z nich.

Z powodu książki napisanej przez tego brytyjskiego podróżnika do naszej wyprawy dołączyła Nicole. Trochę z przekory mówi o sobie, że jest najstarszą uczestniczką. Może i najstarszą, ale za to najlepiej przygotowaną. Jej walizka jest jak przyborek MacGyvera. Są tam rękawiczki, czapka i szal, buty do końskiej jazdy, suszarka do włosów i batoniki z orzechami, suszone śliwki, witamina C i dokładnie odliczone jednorazowe paczuszki sproszkowanej kawy latte z mlekiem sojowym, z brytyjskiego sklepu Waitrose.

– Kocham pustynię. Mój mąż jest Tunezyjczykiem, razem zobaczyliśmy już wiele z nich, ale Rub al-Chali naprawdę jest najpiękniejsza. Artykuł o tym, że Emiraczczyki szukają chętnych na wyprawę po pustyni, przeczytałam, gdy moja druga córka pakowała walizki i wyjeżdżała do Londynu, do szkoły

z internatem. To był znak – mówi Nicole i wyciąga z walizki MacGyvera książkę Wilfreda Thesigera. Elegancka Brytyjka o pociągłej twarzy i nienaganej sylwetce zabrała ją ze sobą, bo o brytyjskim podróżniku uczyła się w szkole.

– Było o Kolumbie, o Magellanie, a wśród współczesnych pojawił się Thesiger. Urodzony w Addis Abebie, w Etiopii, późniejszy absolwent Oksfordu był zafascynowany krajami arabskimi: „Żaden człowiek, który poznał pustynię, nie pozostanie taki sam. Będzie zawsze nosić w sobie jej ślad i nigdy nie opuści go pragnienie powrotu”, pisał po pięciu latach życia spędzonych z Beduinami. Wyprawa przez „obszar, gdzie mieszka pustka”, była najważniejszą w jego życiu. Thesiger lubił wspominać moment, w którym pustynia uwiodła go po raz pierwszy. Miał niespełna rok i posadzono go na wielbłądzie, a on doświadczył uczucia, które wiele lat później kazało mu uciekać z Londynu na wszystkie pustynie świata. W 1945 roku wyruszył w wymarzoną podróż po Rub al-Chali. W czasie powolnej wędrówki przyglądał się, jak Beduini bezbłędnie odnajdują drogę. Obserwował, jak ze śladów na piasku odczytują, kto, kiedy i z jak dużym stadem przemierzał tę samą trasę. Przekonał się, że Beduini są fatalistami – akceptują wszystko, co przyniesie następny dzień. Nie ma na świecie ludzi bardziej samowystarczalnych niż oni, ale jeśli coś układa się nie po ich myśli, to przyjmują ten los bez narzekań, zdając się na wiedzę i moc siły wyższej: „Inszallah – jeśli Bóg pozwoli”, wszystko się uda. Wieczorami Thesiger siadywał z Beduinami przy ognisku i tak, dzień po dniu, stawał się częścią pustynnego plemienia. Przysłuchiwał się rozmowom

o wielbłądach, jedzeniu, polityce prowadzonej przez poszczególne plemiona. Wszystko to opisał i sfotografował.

Zafascynowana Wilfredem Thesigerem Nicole pisze pamiętnik, chce przekazać wszystko, co się dzieje podczas wyprawy. Tak jak jej brytyjski idol opisuje relacje, jakie tworzą się w grupie różnych ludzi podróżujących wspólnie przez długie dni na wielbłądach. Zapału starcza jej na dwa wieczory. Gdy rozmawiamy po powrocie, mówi, że bardzo tego żałuje, ale zmęczenie nie pozwalało jej na precyzyjne zapisywanie myśli. Za to w książce podróżnika podkreśliła jeszcze jedno ważne zdanie: „Pustynia daje przyjemność życia poza cywilizacją”.

– Jeśli zapytasz himalaistów, po co zdobywają kolejne ośmiotysięczniki, usłyszysz w odpowiedzi: bo są. To samo dotyczy pustyni. Wystarczy, że jest. Te pięćset kilometrów na wielbłądzie, które zrobiliśmy w ciągu jedenastu dni, to było najtrudniejsze doświadczenie mojego życia, a jednak kiedy siedziałam na jego grzbiecie i patrzyłam ponad jego głowę i głowami innych jadących, pojawiał się nieprawdopodobny spokój. Przez kilka godzin mogłam milczeć i kołysać się w rytm wielbłądzych kroków. Ludzie jeżdżą do aszramu w Indiach, na jogę na Bali, a mnie wystarczy wielbłąd na pustyni. Tygodniowa medytacja wśród piachów, z dala od rozpędzonego Dubaju i mojego Londynu. Wracasz do domu i nie wiesz, co robić – mówi Nicole, która po powrocie zaczęła się zastanawiać, jak w ogóle można żyć w mieście, nie kołysać się z prawej na lewą i siadać do jedzenia przy stole zamiast wokół ogniska. A wszystko dzięki książce napisanej sześćdziesiąt lat temu!

Ciekawa jestem, czy szef wyprawy, Abdullah Hamdan Bin Dalmoock, rzeczywiście potrafi rozpoznać drzewo Thesigera. Może tak, bo nazwisko tego podróżnika zna nawet sześciolatek w emirackiej szkole. Reprodukcje jego zdjęć znajdują się we wszystkich podręcznikach, wiszą w urzędach, i to właśnie dzięki jego fotografiom dzieci wiedzą, jak wyglądały pustynne obozy rdzennych mieszkańców Półwyspu Arabskiego. Do 1946 roku, czyli do pierwszej z dwóch wypraw Thesigera, istniały wyłącznie pojedyncze fotografie zrobione w tej części świata. Anglik był nie tylko zakochany w pustyni, ale też z kronikarską dokładnością dokumentował życie mieszkających tu ludzi. Abdullah, przystojny i pewny siebie szef emirackiego centrum dziedzictwa, mówi, że czarno-białe fotografie nie różnią się od tych, które można by zrobić dzisiaj. Wystarczy tylko odjąć kolor. Pozornie niewiele się zmieniło, wydmy wyglądają dokładnie tak samo jak osiemdziesiąt lat temu, wielbłądy ciągle mają uśmiechnięte pyski i tylko tradycyjne arabskie kandury, czyli białe ubrania mężczyzn, są świeżo wyprasowane i białe od proszku kupionego w supermarkecie.

– Moja rodzina nie pochodzi z pustyni, tylko z nadmorskiej części Dubaju. Na farmę położoną kilkanaście kilometrów w głąb lądu wyjeżdżaliśmy latem. Dzisiaj ludzie podróżują do Europy, kiedyś jeździło się na pustynię. Na przykład do oazy w Liwie, gdzie była woda i rosły palmy daktylowe. W niewielkich ogrodach uprawiano banany, a nawet mango. Uwielbiałem opowieści dziadków o Beduinach, dla których pustynia była synonimem wolności. Podróżowali, dokąd chcieli i kiedy chcieli.

Niektórzy myślą, że człowiek szedł na pustynię z biedy. Było dokładnie odwrotnie. Ci, którzy nie potrafili sobie poradzić, jechali do miasta. Prawdziwy Beduin nie da się ukorzyć, bo życie zaczyna się wtedy komplikować. A na pustyni wszystko jest proste: piasek, wydmy, dużo czasu i Bóg. Legendarna siła Beduinów bierze się właśnie z trudnych warunków życia. Po całym dniu ludzie siadali dookoła ogniska i mieli czas na rozmowę. Tak jak my teraz, na wyprawie – mówi Abdullah, który na organizowany przez centrum Camel Trek mógłby przecież wysłać jakiegoś zastępcę, a jednak co roku sam spędza dziesięć dni na jednym ze swoich wielbłądów. Może po to, żeby posłuchać oddechów?

– Kiedyś w jednej karawanie maszerowało ze sobą dwadzieścia rodzin. Wszyscy dzielili się tym, co mają. Razem jedli daktylę, jogurt z wielbłądziego mleka i piekli chleb. Wspólnie czekali na upragniony deszcz. Byli tak blisko, że zaczęli oddychać w tym samym rytmie. Wszyscy wiedzieli, kto jest chory i kto kaszle. Gdy w nocy kobieta rodziła, cała karawana rozumiała, że trzeba jej pomóc. Robili jej śniadanie, martwili się o nią.

– Żyła jak księżniczka na pustyni? – pyta Charlotte, która od kilku minut przysłuchuje się mojej rozmowie z Abdullahem.

– Oczywiście, jak księżniczka, ale wy macie jeszcze lepiej. – Abdullah wychodzi powoli ze swojego kampera.

Jego furgonetka codziennie jeździ za nami. Wszyscy śpimy w namiotach, ale szef ma prywatną toaletę i palnik do zaparzenia porannej kawy we włoskim ekspresie. Nie ma się jednak co

łudzić, że przygotowuje ją sam. Na jednym z wielbłądów jedzie jego osobisty hinduski asystent, który zawsze wie, kiedy podać swojemu pryncypałowi kawę lub owoce. Charlotte widziała to już tyle razy, że przyzwyczaiła się do tego braku równości. W końcu Abdullah jest dobrym znajomym szejka Dubaju, więc wydaje się oczywiste, że nie będzie spał w jednym namiocie z pozostałymi mężczyznami. Te różnice w statusie są widoczne na każdym kroku. To Charlotte przyszła nas zawołać, bo nikt z pracowników nie odważyłby się na taki krok. Bez Abdullaha nic nie może się rozpocząć. Ani wieczorne spotkanie przy ognisku, ani poranny wymarsz karawany, ani posiłek, ani modlitwa. On jest jak Bóg, choć jako bogobożny muzułmanin zazgrzytałby zębami, słysząc takie porównanie. Gdy siada przy ognisku, milkną rozmowy; od tego momentu każdy już słucha tylko tego, co mówi Abdullah.

Dzisiaj myślę, że gest Charlotte, która podzieliła się ze mną swoją ukochaną wielbłądzicą, był wyjątkowy. Oddała mi Dabi o łagodnym usposobieniu, którą przez dwa lata przygotowywała do tego debiutu. Od pierwszego dnia po zakupie marzyła, że Dabi będzie kiedyś częścią tej karawany. Tymczasem ja – dziennikarka z Polski – dołączyłam w ostatnim momencie i byłam zupełnie nieprzygotowana do podróży. Przed wyprawą spędziłam na wielbłądzie zaledwie trzy popołudnia, czyli zdecydowanie za mało, by czegokolwiek się nauczyć. Wiedzieli o tym organizatorzy. Byli równie przerażeni jak ja, ale zależało im na reporterce z Europy. Wielbłądzica, na którą miałam się wdrapać, była własnością Abdullaha i gdy tylko podeszłam, wyczuła, że ma do czynienia z amatorką. Może dlatego przy zapinaniu uzdy





rzuciła się na piasek, tocząc pianę z pyska. Ale jej zachowanie przstraszyło tylko mnie. Arabowie wiedzą, że niektóre wielbłądy po prostu nie znoszą tego ceremoniału.

#### POŻEGNANIE Z PUSTYNIĄ

Historia wielbłądzicy Dabi jest tak dziwna jak cała pustynna przygoda Charlotte. Po jej pierwszej wyprawie fundacja postanowiła uhonorować odważnych Europejczyków i zapłaciła im za każdy dzień uczestnictwa w Camel Trek. Charlotte wzięła wprawdzie bezpłatny urlop, ale w ogóle się nie spodziewała, że ktoś będzie chciał jej tę nieobecność zrekompensować. I tak właśnie stała się właścicielką wielbłąda. Dorzuciła trochę ze swoich oszczędności i za sześć tysięcy dirhamów (około sześciu tysięcy złotych) kupiła Dabi.

– Pomyślałam, że skoro nie mam w Dubaju rodziny, to będę miała wielbłąda. Znalazłam dla Dabi miejsce na farmie będącej własnością Centrum Dziedzictwa i byłam zachwycona. Wielbłądzica świetnie wypadała na wyścigach. Kształt garbu, ułożenie uszu, grubość skóry na kolanach, szerokość kopyt, dzięki którym zwierzę nie zapada się w piasku... Wszystko było w niej doskonałe... No ale nie mogła zająć w ciężę i dlatego ją sprzedano. Siedem dni po transakcji wrócił dawny właściciel i chciał ją odkupić za podwójną cenę. Nie rozumiałam, co się dzieje, bo wszyscy rozmawiali po arabsku i trwało to godzinami. Z Dabi jest związana jakaś tajemnica, ale nikt nie chciał mi jej wyjawić, dlatego postanowiłam, że nigdy jej nie odsprzedam.

Możliwe jednak, że Charlotte będzie musiała zmienić zdanie.

W kwietniu, gdy w Dubaju zapanował nietypowy dla tej pory roku chłód, Charlotte została zwolniona z pracy, a kilka dni później zadzwoniła do niej rodzina z Francji. Po tej rozmowie Charlotte już wiedziała, że będzie musiała zostawić pustynię, być może na zawsze. Bilet na samolot kupiła tylko w jedną stronę.

– Mój brat próbował popełnić samobójstwo. Powiesił się w pokoju. Tam znalazły go dzieci. Sznur nie wytrzymał ciężaru. – Zawsze pogodna twarz mojej wybawicielki zmienia się na czas tej opowieści nie do poznania.

Już wcześniej przypuszczałam, że wydarzyło się coś złego. Charlotte nie odbierała telefonów, napisała tylko: „Ratuję swoją rodzinę, jadę do Francji”. Przez kilka tygodni nie wiedziała, czy zostanie w Paryżu na stałe, czy będzie mogła wrócić. Wróciła. Na razie.

– Brat ma dwie córki. Jest w szpitalu psychiatrycznym. Ich mama jest niezdolna do opieki, więc może to ja będę musiała przejąć rolę głowy rodziny – mówi mi po powrocie z Paryża. – Dziewczynki są najważniejsze. Nie mogę ich przecież zostawić w sierocińcu. Popracuję jeszcze kilka miesięcy w Dubaju, spłcę pożyczki, które zaciągnęłam na studia podyplomowe, i jeśli trzeba będzie, wrócę do Francji.

– Zostawisz pustynię, wszystko to, co kochasz, i swoją Dabi?

Charlotte, która w ciągu sekundy podjęła decyzję o oddaniu mi swojego ukochanego wielbłąda, w ciągu kilku minut potrafi

podjąć decyzję o powrocie do Francji. Widzę, ile kosztowały ją ostatnie tygodnie. Jej podkrążone oczy jeszcze przez długi czas nie odzyskają blasku.

– Co innego mogę zrobić? Potrzebowałam tych kilku tygodni, żeby przemyśleć sytuację, i już wiem, że jeśli moje bratanice będą mnie potrzebowały, to po prostu wrócę do kraju. A ty na moim miejscu zrobiłabyś to samo? – pyta trochę mnie, a trochę siebie. – Już sobie to poukładałam i zobaczę, co zdarzy się za pół roku. Jeśli nie będzie żadnej poprawy, to spakuję walizkę i tak jak tu przyjechałam, wyjadę.

Kilka dni później Charlotte nie musi się martwić przynajmniej o spłatę długów. Dostała pracę w koncernie Al-Futtaim. Ogromny biznes. Logo arabskiego przedsiębiorcy zobaczyć można na wybudowanych niedawno apartamentowcach, na salonach samochodowych, hotelach, hipermarketach i setkach budynków, również za granicą. Dla Charlotte to praca marzeń – współtworzy sieć restauracji w centrach kinowych, które powstają w Arabii Saudyjskiej. Do tej pory w królestwie kino było surowo zakazane, ale konserwatywni muzułmanie niedawno zmienili obowiązujące prawo. Emiracki koncern zamontuje sześćset kinowych ekranów, a Charlotte będzie odpowiedzialna za bary i kawiarnie, które powstają w ich sąsiedztwie. Będzie jeździła nie tylko do Arabii Saudyjskiej. W Abu Zabi powstaje kolejny sztuczny snowpark, jeszcze większy niż ten w Dubaju. Tym razem w stolicy Zjednoczonych Emiratów Arabskich, w pięćdziesięciostopniowym upale będzie można zobaczyć bałwany, pingwiny i pojeździć na zjeżdżalniach wykutych w lodzie

i śniegu. Charlotte zastanawia się teraz, jaki wystrój powinna mieć restauracja i czy korzystać z dobrych alpejskich wzorów z Włoch, czy raczej z Austrii. Wraz z grupą profesjonalistów musi zaprojektować wszystko – od krzeseł, które staną w restauracji, po menu. Na odpowiedź, czy znajdzie się w nim austriacki germknödel czy włoskie spaghetti, trzeba poczekać jeszcze kilkanaście miesięcy.

– Wyobraź sobie, że mogę zrobić coś, co nigdzie na świecie nie byłoby możliwe. Choćby dlatego, że restauracje na alpejskich stokach stoją już od wielu lat, a w żadnym z tych krajów nie można wybudować sześciuset sal kinowych, bo one już tam po prostu są. Myślę, że przyjeżdżający do Emiratów czują się dzisiaj jak ci, którzy brali udział w gorączce złota na Dzikim Zachodzie. Ten świat nieograniczonych możliwości stał się moim domem i za nic nie chciałabym go opuszczać – mówi Charlotte. Jest zadowolona także dlatego, że brat w Paryżu czuje się coraz lepiej.

– Nie tęsknisz do zmieniających się pór roku, do rodziny, do europejskiej demokracji i wolności prasy?

– No cóż... Kiedy byłam ostatnio we Francji, zauważyłam, że wszystko się zmieniło. Dosłownie wszystko. To straszne, co powiem, ale Paryż przestał być moim domem. Nie znoszę rosnącego poczucia wyższości, zadufania i braku tolerancji dla innych. Coraz trudniej też godzę się z tym, jak moi rodacy traktują ludzi przyjeżdżających z innych krajów. Francja się zmienia i coraz bardziej zamyka. A ja zawsze będę wołała otwarte drzwi od zamkniętych – tłumaczy Charlotte. – Uświadomiłam

to sobie już wcześniej. Odwiedziłam Dabi na farmie wielbłądziej i obserwowałam pracujących tam Arabów. Byłam jedyną dziewczyną, przysłuchiwałam się ich rozmowom i podpatrywałam, jak opiekują się zwierzętami. Okazało się, że jestem niezłą obserwatorką. Szybko zaczęłam sobie radzić w tej dotąd zupełnie obcej rzeczywistości. W krótkim czasie to właśnie obok nich znalazłam swoje miejsce w życiu i po raz pierwszy od pamiętnej wizyty u lekarza, od wypadku, który złamał mi karierę, pomyślałam, że życie ma jakiś sens. Jeśli posiadasz umiejętność zaadaptowania się, to znaczy, że odnajdziesz się wszędzie. Jeśli szanujesz innego, to możesz szanować wszystkich i wszędzie. To było dla mnie jak objawienie, bo przecież na początku nie potrafiłam się z tymi ludźmi dogadać: oni znali tylko kilka słów po angielsku, ja nadal nie mówiłam po arabsku. Umiałam tylko się przywitać i zakrzyknąć *inszallah* – „jeśli Bóg zechce”. Czasami Bóg daje, a czasami nie i trzeba to zaakceptować. Gdyby ludzie potrafili brać przykład z Beduinów, to na świecie żyłoby się lepiej. Jeżeli będę musiała wyjechać, to mam nadzieję, że na farmie zaopiekują się moim wielbłądem. Za żadne skarby świata nie pozwolę sprzedać Dabi. Chciałabym, żeby była szczęśliwa, a ja będę ją odwiedzała w czasie wakacji. Nie opowiedziałam jej jeszcze o swoich rodzinnych kłopotach. Może nie będę musiała, a życie, tak jak się skomplikowało, tak niespodziewanie się uporządkuje.

